



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Grajek,

GRAJEK.

Na skrzypczkach gra pacholę,
 Piosnka głosi smutną dołę,
 Smutnie dźwięczą skrzypek tony,
 Niby jakiś żal tłumiony,
 Niby tęsna skarga płynie...
 Snać na świecie źle chłopczynię;
 Ciemno - lice, ciemno - włosy,
 Opalone, biedne, bose,
 Cygańskiego rodu dziecię,
 Wiecznie tuła się po świecie.
 Gdybyż jeszcze matka żyła?...
 Ach! ją kryje już mogiła,
 Już syneczka nie popieści.
 Ojciec przepadł gdzieś bez wieści...
 Serce boli, łza się kręci...
 Po co sięgać tam w pamięci?
 Niech brzmi lepiej pieśń radosna,
 Wszak na świecie kwitnie wiosna,
 Najpiękniejsze teraz chwile:
 Pełno kwiecia, woni tyle!
 I skrzypczki zadźwięczały,
 Śląc pieśń w świat po rosie białej!...

Helena Bojarska.

Z podań o Kijowie.

Był to poranek, słońce dopiero wschodziło, różowe obłoki przesuwały się chyżo po niebie niektóre w złote rąbki przystrojone, ptaszęta zbudziły się i głośnym rozhoworem witały wschodzący dzień, kwiaty łąk rozchylały swe kielichy i balsamiczną woń rozlewały w powietrzu, a wiatr łagodny kołysał wiotkimi łodygami. Z długiej drzemki natura się otrząsała, życie budziło się na ziemi, rozliczne owady: motyle, pszczoły, muchy rozpostarły leciuchne skrzydełka, unosiły się w górę i kapały się w ciepłych promieniach słońca, świercze wesoło skakały wśród traw, pola szumiały zbożem, jasno wesoło było na ziemi. Brzegiem tych łąk kwiecistych i pól srebrzystych płynął cicho Dniepr, fale jego coś gwarzyły ze sobą niezrozumiale, słońce przeglądało się w nich; zdawało patrzeć na nie, sądzić było można, że złota struga toczy się zwolna koło tych łąk i pól. Cicho, spokojnie, dobrze było na ziemi, tylko gwar ptasząt i brzęczenie owadów rozlegały się nad nią, tylko szmer fal, płynącego Dniepru, słyszeć było na niej. Nad brzegiem rzeki tu i owdzie widać było siedzących ludzi w postawach nieruchomych, niby kamienne posągi, wpatrzeni w toczące się fale wody, trzymali oni w ręku wędkę, których długie sznurki tonęły w Dnieprze, wabiąc mięsem, zawieszonym na końcu, biedne rybki, byli to rybacy miejscowi, Polanie osiedli nad brzegami Dniepru, łagodni, spokojni, zajmowali się rybołówstwem lub rolnictwem, kochali swą ziemię, swych braci, wojnę się brzydzili; życie płynęło im podobnie do poranku pogodnego: jasno spokojnie, bez silnych wrażeń, bez pragnień niespokojnych; to co ziemia im dawała, co Dniepr im dostarczał to ich zadawało. Słońce ich zbudziło, opuścili drewniane swe chaty rozsiadane tu nie licznie, jedni z sierpami na pola podążyli, inni z wędkami nad rzekę. Ptaszęta nucą nad ich głowami, skowronki przyspiewują im w pracy, owady szumią koło nich, wiatr coś gada do nich, wody Dniepru coś im opowiadają, oni słuchają, lecz milczą, sami nie mówią, dobrze im z tym spokojem natury... W tem jakiś plusk rozległ się na Dnieprze, zagadały głosiń jego fale, rybacy podnieśli opuszczone ku rzecze powieki i zwrócili je w stronę z kądem hałas ich doleciał i ujrzeni zdali na Dnieprze tratwę nie wielką, na niej stał pielgrzym w sukni zakonnej, sznurem białym przepasaną z różańcem u boku... Siwa broda do pasa mu spadała, siwe włosy ramion sięgały, stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i modlił się widocznie, gdyż wzrok miał w niebo wzniesiony, a usta jego poruszały się, jakby pacierze mówił; obok niego dwaj chłopcy kilkunastoletni, ubrani zupełnie tak samo jak rybacy co nad rzeką siedzieli, w białych płóciennych sukniach, wiosłami torowali drogę tratwie. Fale Dniepru niezadowolone, iż ktoś odważył się zmącić im spokój, mruzczały groźnie, pienily się z gniewu i srebrne krople w górę ciskały. Ale wiosłarze, gniewu się ich nie bali, odważnie odpychali je wiosłami od tratwy i tratwa płynęła równo, spokojnie, a pielgrzym modlił się na niej, a rybacy przypatrywali się im.

Gdy z jednej strony Dniepru rozciągały się zielone łąki i srebrzyste pola, z drugiej widać było góry większe i mniejsze, jodłami porośłe, lub piaszczyste; ciągnęły one brzegiem rzeki długim pasmem, tu rybaków widać nie było, ztąd tylko rybitwy wylatywały czasami, unosiły się nad rzeką, krążyły chwilę nad nią, pilnie śledząc toń przejrzystą, pod nimi rozpostartą, poczem raptem spadały na wodę, zanurzały się w falach Dniepru, na jedną sekundę w nich ginęły, potem znowu ukazywały się, ale teraz ze zdobyczą w dziobie unosiły się pod obłoki i spieszyły ze złowioną rybką ku górom, ku gniazdom swoim, gdzie ich piskłeta żeru oczekiwały. Pielgrzym płynący na tratwie skończywszy się modlić, uważnie rozglądał się po okolicy, jak gdyby pierwszy raz był tutaj, poczem skinął na chłopców i kazał dobić im do brzegu tego, na którym ciągnął się łańcuch gór, a gdy wiosłarze spełnili jego rozkaz, pielgrzym wznosił rękę w górę i krzyż w powietrzu nad górami nakreślił.

— Komu błogosławisz ojcze tym znakiem? zapytał je-

den z wiosłarzy — na tych górach ludzie nie mieszkają, pta-ctwo tylko dzikie gnieździ się na nich i dzika zwierzyna mieszka wśród leśnej ich gąszczy, ptakom i łaniom miażdżebyś błogosławić?

Pielgrzym wznosił wzrok w górę.

— Boża łaska spłynie wkrótce na te góry, odparł uroczy-
stym głosem, dziś pusto i głucho na nich, lecz za lat kilka wielkie miasto się tam wzniesie, i lud potężny się rozgości. a książęta tego ludu daleko poza te góry panowanie swe rozciągną, wy Polanie władzę ich nad sobą uznacie, ja błogosławię temu ludowi.

To rzekłszy skierował się ku owym górom wstąpił na je-
dną, a dotarłszy szczytu, krzyż na niej zatknął, poczem ukląkł i modlił się długo.

Chłopcy ze czcią patrzali na pielgrzyma, słowem jego uwierzyli, bo pielgrzym ów za świętego uchodził, był to Andrzej Apostoł, który wracał z Chersonu, gdzie wśród miesz-
kańców tej krainy wiarę Chrystusa szerzył i dążył teraz do Rzymu. Prorocze były jego słowa: Nad brzegami Dniepru na górach, które pobłogosławił, podniósł się z czasem gród potężny, Kijowem zwany... Podanie mówi, że pewnego ra-
zu przypłynęło tu trzech braci Kij, Szczek i Chorew i każdy z nich na inną górę zamieszkał: Kij na Boryczewie, Szczek na Szczekowej, Chorew na Chorewicy i wybudowali oni wspól-
nymi siłami na trzech górach gród wielki, potężny, który od imienia najstarszego Kijowem nazwali. Polanie mieszkający wśród pól, rozciągających się nad brzegiem Dniepru, uznali Kija swym kniazem, długo on panował nad nimi, długo, szczęśliwie i spokojnie, a gdy umarł i bracia jego pomarli, najstarszy z ich rodu objął władzę nad Kijowem. I stał się Kijów jed-
nym z potężnych grodów słowiańskich, kniaziowie jego we-
szli w stosunki z cesarzami Carogrodu, brali z ich kraju różne towary, płacili za nie płodami swęj ziemi, Dniepr nie płynął już teraz tak spokojnie, jak dawniej, ładowne tratwy, wiozące z Konstantynopola różne ozdoby i przysmaki, nieznane Pola-
nom, przesuwały się po nim ustawicznie, Dniepr stał się teraz drogą handlową między Kijowem i Carogrodem, a Kijów tar-
gowiskiem pełnym życia...

Krytyka historyczna uważa to podanie za bajkę, wie-
rzyć w nie nie każe, jak nie pozwala wierzyć w podanie o Krakusie i Wandzie; wielu jednakże badaczy przeszłości uznaje, że w każdym podaniu jest jakiś wątek prawdy, a co w niem prawdą, co wytworem fantazji ludu, to dziś trudno orzec; to tylko powiedzieć można, że taka powieść o założeniu tego miasta krąży wśród ludu nad Dnieprem mieszkającego.

Teresa Jadwiga.

Korespondencya Wieczorów Rodziennych.

Kochana Gołąbko!

Posyłam ci obiecany dawniej opis Wenecyi; téj Wene-
cyi, której artystycznych i historycznych pomników, mo-
gliśmy przez trzy tygodnie pobytu ledwo trzecią część obejrzeć,
bo wyobraź sobie tylko! posiada ona 148 kościołów i niewiem
ile pałaców, z których prawie każdy, jeżeli nie jest przedsta-
wicielem jakiego architektonicznego stylu, to zawiera w swych
obrazach i ozdobach arcydzieła sztuki, które godziłoby się do-
kładnie oglądać. Z drugiej znowu strony nie można się bar-
dzo spieszyć z temi odwiedzinami, bo aby z jednego pałacu
Dożów coś na przyszłość w pamięci zostało, trzeba się cztery
dni przynajmniej zapoznawać z jego wnętrzem.

Zwykle przybywszy do wielkiego miasta, widzimy naj-
pierw jego dodatnie strony, podziwiamy piękne gmachy, py-
sne wystawy sklepowe, potem dopiero odkrywamy wszystkie
braki; w Wenecyi przeciwnie, wszedłszy z dworca kolei na
gondolę, chociaż to było w najpiękniejszą porę dnia, bo w sa-
mo południe, gdy „Królowa mórz” ozięcona promieniami wło-
skiego słońca, w najozdobniejszej mogła się szacie przedsta-

wieć, nie chciało się nam wierzyć że jesteśmy w jej obrębie. Przeciskaliśmy się przez wąskie uliczki o mętnej wodzie, otoczone brudnymi domami o odrywających się okiennicach, lub po pod niskie podmurowania, którym wdzięku nie dodawały bawiące się zamorusane włoskie cyganiatka, pilnowane przez stare Włoszki, dziwnie uosabiające portrety suchych, zgarbionych czarownic opisywanych w bajkach. Dalej mijaliśmy ogromne barki, kierowane przez krzykliwych przewoźników, wiozących ładunek solonych ryb, które powietrze napełniały strasznie niemiłą wonią. Barki w małych kanalikach zupełnie ruch tamowały, bo jak rekiny za okrętem, tak gondole za barkami płyną, nie mogąc ich minąć. Zdołaliśmy dopiero pojąć, czem Wenecja zasłużyła na przydomek „la bella”, gdy wydobywszy się z labiryntu kanalików, wjechaliśmy na szersze uliczki, upiękzone już kościołami i ozdobniejszymi gmachami, a potem na Grande Canale; gdy ujrzelśmy „palazzo Roscari” najcudniejszy wzór arabsko-gotyckiego stylu, „Wendramin”, „Calergi” architektury wczesnego renesansu, „Grimani,” który ugościł w swych murach królewicza Władysława IV-go podczas jego pobytu w Wenecyi, „palazzo Cornaro” „Casa d’oro” i mnóstwo innych ozdabiających tę główną linię komunikacji weneckiej i najszerszą żyłą wodną, przerywnąjącą miasto, lub gdy przejechalśmy pod olbrzymim „ponte di Rialto” który robi wrażenie jakby przez tytańskie a nie ludzkie ręce był wzniesionym. Jest on cały z marmurowych łomów, dźwiga dwa rzędy sklepów i przez podwójne schodki łączy się z ulicami miasta. Później nabraliśmy nawet więcej uszanowania dla wyżej wspomnianych brudnych domów, okalających wąskie kanalizki, gdyśmy się dowiedzieli że one także prawie wszystkie z marmuru zbudowane. Trzeba ci wiedzieć, że chociaż Wenecja ma tak ustaloną opinię wodnego grodu, można ją całą przejść pieszo, gdyż przy rzeczywistym charakterze morskiego miasta i ogromnej ilości uliczek wodnych, jest ona przerynięta niemniej gęstą siecią ulic stałego ładu, po największej części wysokich i niezmiernie wąskich, tak że w niektórych trzy osoby ledwo minąć się mogą, z drugiej jednak strony bardzo wygodnych, bo można bezpiecznie po nich kroczyć, nieobawiając się przejechania lub potratowania przez kopyta koniskie. W całej Wenecyi nie powstała prawie nigdy noga żywego konia, mówię żywego, bo w sztucznie naśladowane, Wenecja obfituje może więcej niż każde inne miasto.

W kościołach nawet nieraz z rzeźbionymi lub ciosanymi końmi spotkać się można, nad wszystkimi zaś króluje sławna czwórka z kościoła św. Marka! Zdobiła już ona trzy łuki tryumfalne, wzniesione na cześć mocarzy, wracających z wieńcami laurowymi z wojennych potyczek, teraz odpoczywa po burzliwych losach kolejach na szczycie bazyliki weneckiej. Podziwiałam ją z bliska, gdyż za stosowną opłatą można się dostać na galerje kościoła, z kąd króluje nad miastem. Śliczny też ztamtąd widok na plac św. Marka i „piazetę”.

Plac św. Marka jest otoczony z trzech stron nowymi i starymi prokuratorjami, łączącemi się małą hallą o pysznych ogromnej grubości marmurowych słupach. Nowe mieszczą terazniejszy pałac królewski, można go zwiedzić do najdrobniejszych szczegółów, nie przedstawia on jednak nic godnego widzenia, prócz niedojrzanego okiem szeregu pokojów, bogato urządzonych.

Sklepy błyszczą tu przepysznymi wystawami sławnych szklanych, jubilerskich i koronkowych wyrobów weneckich, których najwięcej wszakże napotkać można przy ulicy „Mercuria” oddzielającej Stare Prokuratorje od pysznej wieży zegarowej, plac zdobiącej. Zwiedziliśmy też fabrykę koronek weneckich, jest to zakład na wielką skalę; ze sto dziewcząt pracuje w jednej sali klockami wśród szeregu szpilek; podziwialiśmy ich zręczność przy tak trudnej i mozolnej pracy, ale też wyroby zadziwiające swą delikatnością i pięknnością z rąk ich, na świat wychodzą. Mnóstwo sal i pokoi następujących po pracowni dziewcząt, zawiera wystawę tych prawdziwych arcydzieł koronkowych; najwięcej utkwiły mi w pamięci różne widoki Wenecyi, jedwabiem w kolorowych cieniach, ślicznie wykonane. Myśleliśmy zwiedzając tę fabrykę, jaki ona niezmierny dochód Wenecyi przynosić musi, i jak równą korzyść mógłby dać naszemu krajowi, początkujący prze-

mysł koronczarski, gdyby doszedł do podobnego stopnia rozwoju i doskonałości, zyskując porządkiem i wzorowem urządzeniem, taką samą wziętość jak wenecki, a podobny mu popyt w kraju, mówię podobny, gdyż o równy byłoby trudno, bo koronka jest prawie narodowym strojem Włoszek. Chcieliśmy również obejrzeć fabrykę szklanych i mozaikowych wyrobów, jest ich dwie: jedna znaczniejsza na wysepce Murano, druga mniejsza w samej Wenecyi na Canale Grande, ale jak na wiele innych ciekawości tak i na tę czasu nam nie stało; mieliśmy jednak dostateczne wyobrażenie o ich wspaniałości, napatrzwszy się szkieł kosztownych w magazynach Starych Prokuratorji; lustra szczególnie są pyszne. Ramy miewają prześliczne, samymi np. niezapominajkami z mozaiki wysadzane, lub różnemi deseniami o najżywszych barwach i cieniach; bransoletki, broszki i inne toaletowe jak i salonowe ozdoby z mozaiki, nęcą także wzrok swą pięknnością.

Lecz czas mi już wrócić do placu św. Marka, od którego mnie chwilowo odwiodły, błyszczące cacka weneckie. Z czwartej strony naprzeciwko halli marmurowych słupów, a obok modrawo złotej zegarowej wieży, ogranicza plac sławna bazylika weneckiego patrona, o bizantyńskim stylu, rozsiadła się ona szeroko pod swymi pięciu cudnymi kopułami, jakby odzierganymi w oko, koronkowej lekkości gzymśami rzeźbami; kopuły te jednak robią wrażenie, jakby stosunkowo do swej i placu, któremu górują rozległości, za skąpo wystrzeliły w górę; ale nie myślę i nie śmiem wcale rozwódzić się nad niemi, bo je już nieraz lepiej opisano, wspomnę ci tylko kochana Gołąbko, o kilku innych ozdobach i historycznych pamiątkach kościoła. Przed kościołem np. stoją rzędem trzy maszty na brązowych podnóżach, artystycznie wypracowanych przez Aleksandra Leopardo; dawniej powiewały na nich sztandary Cypru, Morei i Kandyi, na pamiątkę pobicia tych państw, teraz służą tylko do wywieszania podczas świąt i roczystości weneckiej chorągwi. Pod portykami kościelnego przedsienia, są wkute w podłogę trzy płyty z czerwonego marmuru, oznaczające miejsce, na którym niegdyś papież Aleksander III-ci przyjmował hołd od cesarza Fryderyka Barbarossy, powiększając, według podania, upokorzenie tego księcia, postawieniem mu nogi na głowie. Przepyszne srebrne drzwi wchodowe kościoła, są zupełnie ciemne, gdyż podczas najazdu Francuzów, Włosi pokryli je czernidłem chcąc uchronić je od rabunku jakiemu uległo wiele innych skarbów i pamiątek; dwie tylko z unyślu niepoczerwione główki świadczą o prawdziwym materiale, z którego odrzwia te były wykute. W wielkiej liczbie kościołów weneckich stoi wielki ołtarz na środku głównej nawy; św. Marek nie czyni w tej regule wyjątku, ołtarz wznosi się na podwyższeniu, jest otoczony rzeźbionymi słupami cudnej roboty, za nim znajduje się drugi ołtarz ozdobiony czterema przejrzystymi alabastrowymi kolumnami, pochodzącymi ze świątyni Salomona. Kiedy już jestem przy wielkim ołtarzu, nie mogę się wstrzymać od wspomnienia obrazu, a raczej wielkiej złotej płaskorzeźby, zwaną „Palla d’oro”, zamówioną przez Wenecyan w Konstantynopolu w XII wieku; jest ona nad ołtarzem umieszczona i w szkło oprawna, aby uchronić złoto od uszkodzenia, jest ono tak czyste że zgina się za dotknięciem; odsłaniają płaskorzeźbę tylko podczas wielkich uroczystości, wartość jej podnosi niezliczona ilość pereł i drogich kamieni, któremi jest wysadzona, olśniewają one prawdziwie swą pięknnością, a zdumiewają bajeczną wielkością. Lecz nietylko patrząc na „Palla d’oro” zdaje się być przeniesionym do bajecznych pałaców wrótek i czarowników, całe sklepienie kościoła św. Marka jest pokryte kolorową mozaiką, na złotem tle przedstawiającą różne sceny z historii św., można je doskonale z bliska oglądać, wyszedłszy na ganki okrążające górne sklepienie, zdaje się wtedy patrząc na te złote przestrzenie i olbrzymie malownicze postacie, że nowy świat kruszców i pereł utworzył się przed nami. Posadzka kościelna odpowiada sklepieniu, jest cała utkana we wzorzyste mozaikowe desenie i chociażby kościół św. Marka, już nie więcej godnego podziwu nie zawierał, to dla niej samej warto by go zwiedzić.

POŁÓW BURSZTYNU.

przez HENRYKA WERNICA.



Zmieniają się zamiłowania, gusta i usposobienia ludzkie. Były czasy kiedy ogromne sumy wydawano na szkła kryształowe, tulipanowe cebulki, zwierciadła weneckie; wreszcie przyszła kolej i na bursztyn.

Znano go wprawdzie od dawna, bo już kupcy Feniccy przybywali nad morze Bałtyckie dla kupna poławianego tu bursztynu; wszakże cena jego wzrosła dopiero od połowy zeszłego wieku i utrzymywała się mniej więcej do połowy wieku bieżącego, to jest do chwili kiedy fajki będące poprzednio

w powszechnym użyciu, zastąpiono cygarami i papierosami. W epoce upowszechnienia się fajek każdy zamożniejszy człowiek posiadał fajczarnię, rodzaj stolika z wyżłobieniami, w której stało nieraz przeszło dwadzieścia fajek. Prawdziwą słabością każdego palacza, był osadzony na fajce bursztyn: tego cena dochodziła nieraz do dziesięciu i więcej dukatów. Najbardziej ceniono bursztyny żółte z odcieniem pomarańczowym, oraz białawo brunatne, zbliżone nieraz do ciemnej kawy ze śmietanką. Z mniejszych kawałków bursztynu wyrabiano różańce, paciorki i inne ozdoby służące do stroju kobiecego.

Jak dawniej tak i obecnie prawie wyłącznie poławia się bursztyn na morzu Bałtyckim, szczególnie w tej jego okolicy, w której wąski pas ziemi oddziela morze Bałtyckie od zatoki Fryzkiej zwaną. Piaszczysta ta ławica na kilkanaście mil ciągnąca się, góruje nad powierzchnią morza. Nie znajdziesz tu nie oprócz piasku i gdzieniegdzie widniejących bardzo skąpo rozrzuconych karłowatych świerków, krzewów jałowcowych i trochę owsa. Jeszcze uboższym w roślinność jest sam brzeg morski; brudnawa, zamulona woda uderza o sitowie tu i owdzie w pobliżu jego rosnące.

Mieszkańcy zaludniający to nadmorskie ustronie, przeważnie zajmują się połowem i handlem ryb. Głównem ich zajęciem jest połów flonder, łososi węgorzy i jesiotrów. Z ikry jesiotrów przygotowują w niewielkiej ilości kawior. Oprócz tego wszakże, podczas burzliwej pory morskiej na wiosnę i pod jesień zajmują się połowem bursztynu, który szczególnie bywa pomyślny po gwałtownych burzach północno zachodnich. Wówczas wszyscy rybacy przybrani w szczególny ku temu celowi przeznaczony ubiór, spieszą nad brzeg morza. Każdy przywdziewa grube, długie, nieprzemakalne buty dochodzące do pasa, skórzany kaftan przewiązany takimże fartuchem i kładzie na głowę zwyczajny rybacki kapelusz o dwóch dużych skrzydłach z przodu i tyłu głowy; w ręku niesie sieć kaszorkiem zwaną. W tym ubiorze pomimo wichru i silnych fal uderzających o brzeg, śmiało wchodzi w morze, gdyż połów bursztynu udaje się tylko podczas burzy. Nie zważa na żadne przeszkody, coraz głębiej zanurza się w wodę, tak, iż zdaje się jakby głowa jego pływała na powierzchni morza. Nieraz kiedy silniejsza uderzy fala zupełnie znika, lecz po chwili znów się ukazuje. Walcząc ze strasznym żywiołem, rybak dąży do miejsca w którym sitowie dochodzi do powierzchni morza, tu bowiem najbardziej obfitego spodziewać się można połowu. Zapuszcza kaszorki, a gdy ujrzy że są pełne piasku, zwiru i roślin morskich, spieszy na ląd aby się przyjrzeć swojej zdobyczy. Znalazłszy większe kawały bursztynu, starannie ukrywa je w kaftanie, aby się nie dowiedziano o jego zdobyczy i nie dopatrzono miejsca, w którym sieć zanurzał. Dla tego też nie powraca wprost do tego samego miejsca, lecz dla zmylenia towarzyszy zapuszcza po drodze kaszorki w wodę i nieznacznie zbliża się do bursztynodajnego sitowia. Większe sztuki sprzedaje w Pilawie lub El-

blagu, mniejsze miejscowym kupcom w najbliższych miasteczkach.

W naszym kraju pod Ostrołęką w okolicy Myszyńca znajdują się w ziemi mniejsze kawałki bursztynu, którymi miejscowi mieszkańcy dosyć znaczny prowadzą handel. Wiodący to dowód, że tę część lądu przed wiekami zalewały wody morza Bałtyckiego

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

VI.

— Kto to? — spytał po chwili pan Thorn, gdy z westchnieniem odwracając nareszcie oczy od parowca, spostrzegł stojącego tuż obcego człowieka, w pełnej służbistości żołnierskiej postawie.

— *Carré!* majtek z parostatku „Almaviva” oczekuję rozkazów komendanta — odrzekł tenże.

Pomimo całego strapienia, Thorn o mało się nie rozśmiał, tak z tej godności dostąpionej nagle i niespodzianie, jak i z komicznej powagi majtka!

— Zdaje mi się — rzekł spoglądając na Mac-Ulma — iż stało na tem, abyśmy poszukując w dalszym ciągu naszego oberżysty, zbadali jednocześnie miejscowość, i oswoił się z okolicą, wśród której prawdopodobnie walczyć nam wkrótce przyjdzie?

— Tak jest, komendancie, nie wiem co moglibyśmy mieć ważniejszego i pilniejszego do czynienia — potwierdził Mac-Ulm. I odtąd tytuł ten przyszedł jakoś przypadkiem i w pół żartem do Thorna, choć on wzruszał nań z początku ramionami, nie uważając prawie aby warto było zwracać uwagę na to dzieciństwo.

— A więc idźmy na zwiady wszyscy. Wszak jesteśmy po wygodnym wypoczynku, dobrem śniadaniu?... A zapominał, panie Carré czy jesteś po śniadaniu?

— W razie wymagań koniecznego dobra służby, *tak!* komendancie, i to na całe *trzy dni*, bo jestem wytrzymały jak wielbłąd. Za to w wyjątkowych chwilach dobrobytu, mogę także jak wielbłąd zaopatrzyć się na zapas: szklanka wina nigdy mi nie jest zanadto, owszem, wielce pomaga do zaostreżenia bystrości umysłu...

Jeszcze nie domówił, a już na skinienie komendanta połowa zmordowanych niedawno ludzi, skoczyła w górę po skałach do chat gdzie Ralf jako już ocieżały, gospodarował sam jeden z rozkazem pilnowania związanej kobiety, i wołania o pomoc wystrzałami w razie jakiego skrytego napadu.

— Wrócić się macie wszyscy oprócz Rahiba!... który was i tak wyprzedza! Nie nużyć się bez potrzeby i spoczywać — zawołał Thorn, natychmiast powstrzymali się wszyscy, a Rahib lotny Indyanin w kilka minut wrócił niosąc tykwę i butelkę:

— Oto wino, oto ryż!

Schowaj przyjacielu ryż, dla dobra służby, nie należy nigdy zbyt kować; wino zaś mogłoby zepsuć się na upale, zatem przez oszczędność... — przyłożył do ust otwór butelki i trzymał przez przeciąg dłuższej chwili, a potem oddał ją próżną, mówiąc:

— Dziękuję! Dobrze to na upał; chłodzi. A teraz, jestem jak zawsze na rozkazy, komendancie!

— Ponieważ znasz tutejszą okolicę i słyszałeś o czem rozmawialiśmy z kapitanem, powiedz mi w jakim kierunku idąc moglibyśmy najprawdopodobniej i najprędzej obeznać się z topografią miejscową i zrozumieć mniej więcej gdzie możemy spodziewać się spotkania zbójców, wiodących nasze dzieci



Targ owoców w Wenecyi.

jako też i handlarzy niewolników? A także któregoś ten raniomy niepoń z chaty biedz może na ich spotkanie?

— Jest o cztery godziny drogi ztąd pewna ukryta między skałami zatoka, zwana Rangunską lub Rangorską, mała ale dogodna; z którejkolwiek strony widzialną jest partya niewolników, zawsze tam dąży przedewszystkiem, jeżeli tylko niepojętym jakimś sposobem odgadnie wprzód, że znajdzie okręt handlarski... inaczéj, czeka ukryta w okolicy.

— A więc prowadź nas do téj zatoki! Dalej w drogę! A za to powiem ci ten „niepojęty” ich sposób panie Carré. Oto Hindowie wiodący niewolników dostawsz się w tutejsze pustki skaliste, rozpalają trzy ognie w nocy, lub dają trzy wystrzały w dzień, czem powiadamiają o swéj obecności oberżystę z chaty, tam na skałach, a on już ze swéj wyżyny, wiadomemi sobie sygnałami zawiadamia znów handlarzy snujących się z daleka po morzu o obecności towaru, i... tak dalej zapewne pośredniczy pomiędzy jednymi i drugimi, dopóki nie zdołają zejść się w owéj zatoce bez wiedzy krążących wokoło dla przeszkadzania ich ohydному handlowi okrętów, takich jak „Almaviva”.

— To oni tak robią? To ten oberżysta jak go zwiecie panowie, po to tam siedzi jak drapieżny sęp na skale w budach swoich?

— I przechowuje w nich nieraz „żywy towar” gdy tacy jak wy przeszkadzają handlowi; tak, pewny tego jestem. A teraz dajmy pokój rozmowie i idąc badajmy te skaliste zaułki, któż wie czy za łada głazem nie siedzi gdzie jeszcze nasz oberżysta...

— A więc rozproszmy się, ale tylko na odległość głosu, abyśmy mogli śpieszyć sobie wzajem z pomocą na każde zawołanie; wystrzałem nie możemy dawać sobie sygnałów, gdyż i nieprzyjaciół przybywający może strzelać także. Badajmy wszystko po drodze a kierujmy się za Carrém! Naprzód! panie Carré.

— Wedle rozkazu, komendancie! — Carré ruszył nie miarowym wcale, bo dziwnie kołyszącym się krokiem, i wszyscy za nim, rozeszli się jednak na dosyć szerokiej przestrzeni.

— A jeżeli oberżysta zaczął się z przeciwnéj strony skał swoich?... i czeka naszego odejścia aby puścić się w drogę za nami?

— Jeżeliście tylko widzieli go zbiegającego ze skał tu na południe, to już musi on pozostawać w okolicy lub dążyć dalej w tymże kierunku, gdyż niedostępne błota lub nieprzebyte wyrwy skaliste odgraniczają wybrzeże ze wszystkich innych stron i to właśnie stanowi o bezpieczeństwie odbywających się tu okropnych handłów: handlarze nie potrzebują znikąd obawiać się przeszkody, jak tylko z téj strony, z której sami przychodzą, albo od morza. Dla tego się tu rozpanoszyli.

Pomimo tych zapewnień, Anglicy i ich służba myszkujać bezustannie i skwapliwie po drodze dosięgli wreszcie zatoki Rangorskiej po uciążliwéj wśród upału podróży, nie znalazłszy oberżysty.

— Nie dziwi mię to wcale—wzdychał ten i ów—owszem dziwnemby było gdybyśmy znaleźli go tu wśród tylu kryjówek, my obcy, gdy on jest tu u siebie.

Zwiedzono i obejrzano dokładnie całą zatokę. Miejsce, w którem handlarze ładowali nieszczęsny swój towar na okręty było widoczne, jakby zorane łąkami stopami; tu i owdzie czarne plamy zdradzały krew rozlaną i uschłą. Któż pojmie ile rozpaczliwych walk odbyło się na tym kawałku ziemi, ile łez go oblało w ostatnich chwilach pakowania na okręt... Anglicy patrząc na tę arenę okrucieństwa, unikali wzajem spojrzeć sobie w oczy, i zacinali usta aby nie wybuchnąć łkaniem: oprócz przypuszczeń opartych na prawdopodobieństwie, nic ich nie zapewniało że łyzy Klary i Wilhelma nie upadły także na tę ziemię... W istocie, czyliś śpiesząc gwałtownie, porywcy nie mogli ubiedz starych ojców?... Czyliś straszny targ nie mógł odbyć się przez tę noc, gdy oni spoczywali w chacie na skałach?... Że trzymający straż nie widzieli trzech ognisk ani słyszeli trzech wystrzałów, nie dowodziło niczego,

bo człowiekowi takiemu jak hindus oberżysta trudno było wierzyć w czemkolwiek. Jakby dla zwiększenia grozy widoku, o kilkanaście kroków dalej, leżały liczne szczątki butelek i puszek po okrętowych przysmakach, wyraźne ślady obfitych biesiad jakimi dostawcy i handlarze, uprzyjemniali sobie haniebne swe targi.

Młodzi chłopcy patrzyli na to w rozpaczem milczeniu, dopóki wzbierający ból nie wydarł się z serca na usta stłumionym okrzykiem Jerzego:

— Tu!... tu czekajmy i walczmy do ostatniéj kropli krwi, jeżeli naszych tu przyprowadzą.

— Niechaj ani jeden z nas nie odejdzie ztąd żywy jeżeli bez nich miał odejść!

— Po naszych trupach chyba zawloką ich na okręt!

— Moje dzieci, mówicie jakbyście daleko młodszemi byli dziećmi, niżeli jesteście nawet!... — rzekł drżącym głosem ale wzruszając ramionami Mac-Ulm, gdy Thorn drżał na całym ciele, nie mogąc słowa wyrzec.

— Hm... ale jak dzieci z niezłym sercem... — wtrącił Carré.

— Czyliż nie rozumiecie że przedewszystkiem należy nam się ukryć, aby wprzód widzieć niż widzianymi będziemy; jest to w każdym razie pewna przewaga, nawet w spotkaniu z wężami podobno i nie należy nam się jéj wyrzekać.

— Czyliż tu właśnie nie jesteśmy ukryci?... — szepnął Jerzy.

— Tak, ale rozbójnicy wchodząc w ten zakątek skalisty, zamknęliby nam wyjście i bez wystrzału mogliby nas weprzeć do morza — pomruknął Franek niemniej zakłopotany, teraz dopiero spostrzegając tę ważną okoliczność.

— Tak jest, i dla tego wychodźmy ztąd coprędzej — rzekł Mac-Ulm i łącząc czyn ze słowem, wszyscy wymknęli się ze skalistég pułapki, gdy u wyjścia Mahora z Wilkiem i Rahibem zatrzymał się schyłony, wskazując na ziemię pod stopami. Wszyscy spojrzeli, nie widząc nic zasługującego na uwagę, po baczniejszym jednak przyjrzeniu, dostrzeżono i zrozumiane to, co od razu zajęło trzech hindów krajowców, bystrzejszemi obdarzonych zmysłami: oto od wejścia między skały otaczające zatokę, liczne ślady stóp ludzkich wiodły dalej w głąb wybrzeża... Ślady te były mocno zatarte i rozwiane, czy zmyte wpływami atmosferycznymi zapewne, ale aż nadto dostateczne dla wpół dzikich indyan, którzy zarówno jak wiele także dzikich lecz inteligentnych innych plemion, umieją spostrzedz ślady nawet tam, gdzie europejczyk najbystrzejszy, wcale ich nie widzi.

— Mają słusność nasi towarzysze — uznał po bliższem rozpatrzeniu Carré — tu jest jakby gościniec, zdawna wydeptany bosami stopami krajowców, który kędyś musi przecież prowadzić...

Trzej indyanie z Wilkiem na czele szli ciągle tym śladem, bez trudu, choć anglikom a jeszcze bardziej ich służbie zdawało się, że tamci muszą chyba węszyć go tylko. Tak doszli wszyscy do tegoż samego lasku właśnie, przez który przybyli wczoraj, i z którego krańca ujrawszy poraz pierwszy wybrzeże tutejsze, zatrzymali się w cieniu drzew mangowych, wysyłając Mahorę na zwiady. Ale Mahora dawszy towarzyszom znak milczenia przypadł jak długi, ucho przykładając do ziemi... Po dłuższéj chwili powstał, a Wilko poszedł dalej, kierując się w niedostępną na pozór gęstwinę lianów, oplatających odwieczne uschłe lub żywe drzewa, uwieszone, powywracane lub powykoszlawiane, pod przemocą całego labiryntu spiętrzonych złomów skalistych. Wyraźnie przed licznymi wiekami miał tu miejsce wybuch wulkaniczny; albo może jakiś kataklizm miejscowy spowodował to spiętrzenie głazów, naniesionych siłą potężną, na bystry zapewne niegdyś potok, którego głębokie łóżysko odznaczało się dotąd, pomimo wysiłków potężnéj roślinności, królującéj w pełni sił na tem rumowisku przyrody podrównikowéj. Wilko, najmniej ucywilizowany, a więc najbliższy jéj tajemnic, szedł pierwszy, bo dwaj towarzysze instynktowo może, ustępowali mu zawsze pierwszeństwa w takich rzeczach. Inni postępowali za nim, przeslizgując się przez tak

trudne przejścia, że niekiedy musieli iść pojedynczo i to nieledwie na czworakach. Głuche milczenie zalegało ciemną tę puszcę skalistą.

— Gdzie on nas prowadzi w głąb tej gęstwiny? i po co? Toż tam nie może już być śladu. Nie możemy się tu zgromadzić ani nawet porozumieć wszyscy, dla Boga wracajmy, albo dzicy jeśli nadejdą, mogą nas tu wydusić jak myszy w jamie!... — szeptał do ucha Mahorze Thorn, postępujący tuż za nim. Szeptał, bo jest coś tak przejmującego grozą w tych gęstwinach, że człowiek mimo wiedzy cicho się tam sprawuje, wśród bezdennej otaczającej go ciszy. To też i Mahora odpowiedział również cicho:

— Ślad jest!... my go widzimy w tych złamanych gałązkach, w tym mchu przydeptanym, a tam oto kawałek głązu ukruszył się świeżo pod czyjąś stopą... Wilko wie gdzie idzie, tu jest coś, czego nie rozumiemy i dla tego powinniśmy zrozumieć, a dzikich zbójców tu niema w tej chwili, bo u wejścia do lasu słuchałem kroków, leżąc uchem na ziemi i nic nie słyszałem, za chwilę posłucham znowu.

Thorn zamilkł, czując raczej niż pojmując że indyane wiedzeni właściwą im bystrością, muszą mieć słuszość. Wtem Wilko zsunął się nagle w głębokie a wyschłe łóżysko potoku i wszyscy poszli za nim. Najniespodzianie tu, gdzie rumowisko głazów spiętrzonych zdawało się tamować przejście nawet wodzie, przeszli kręto, lecz łatwo pomiędzy głazami i próżno tłumiony okrzyk zdziwienia wyrwał się z uciśnionych piersi. Stali teraz na krańcu małej podłużnej kotliny, wytworzonej z rozszerzonego w tem miejscu łóżyska potoku, a kotlina ta znacznie pogłębiona i otoczona wysokimi gromadami skał i jeszcze wyższym obrastającym je lasem, zawierała tak widoczne i dotykalne ślady ognisk i uczt przy nich odbywanych niedawno, że od razu, najmnij domyślni nawet, zrozumieli znaczenie owego tajemniczego gościńca śladów, wiodących do niej, od rangorskiej zatoki:

— Ach!... tu więc dostarczyciele „żywego towaru” mają niedostępną prawie kryjówkę swoją, tu przyprowadzają nieszczęsne ofiary i porozumiewając się umówionemi sygnałami z oberżystą z dwóch chat na skałach, oczekują sposobnej chwili dobicia targu, gdy okręty śledzące ich znikną na chwilę z horyzontu a „handlarz” jednocześnie jak wąż wśliźnie się w Rangorską zatokę!

— Tak, to tu! — Nawet francuzki majtek znający istotnie okolice, nie znał przecież tej kryjówki, ale za to zrozumiał tem lepiej teraz jej ważność:

— Ach, ach — zawołał — gdybyśmy tak wiedzieli że niebryt wielu przyjdzie, albo gdyby nas było więcej, toż byłaby gratka!

Jeżeli gdzie, to tu właśnie trzebaby nam zacząć się, jeżeli chcemy spotkać dzikich wrogów waszych na pewno, zanim osiągną zatoki. Bo, czyliż rozumiecie panowie dla czego muszą oni tedy przechodzić, zarówno jak i wy sami przechodziliście tuż koło kryjówki, niedomyślając się jej a dążąc do morza?... oto ponieważ *niema* tu innego przejścia! Błota bezdenne dyszące zaraźliwymi wyziewami, i skały poroższarpywane przedwiecznymi kataklizmami snują się naokoło ze wszystkich stron, tak, że obchodząc i wymijając te przeszkody, podróżny musi chcąc nie chcąc, natrafić na ten przesmyk lesisty i przejść przezeń, jeżeli ma dostać się na wybrzeże.

— Jeżeli tak jest, jeżeli istotnie znajdujemy się na drodze indyan, mających lada chwila przybyć, ponieważ dotąd nie przybyli, to trzeba nam coprędzej powziąć jakikolwiek plan działania i porozumieć się z kapitanem — rzekł Mac-Ulm. — Czyliżby nie należało ukryć się nam tutaj?

— Nie ze wszystkim!... trzeba ażeby był ktoś, ktoby mógł przyjść z pomocą tym, którzy tu pozostaną!... — dodał Thorn i wszyscy umilkli nagle, bo Wilko znów leżał na ziemi, przykładając do niej ucho.

— Nie, zbójcy nie idą... — rzekł wstając. Mahora spojrział nań badawczo.

— Tylko kto idzie?... — szeptem zapytał i sam przypadł do ziemi.

— Ktoś idzie... ale to dziwny jakiś chód... nierówny i...

— O trzech nogach!... czyby jaka stara małpa skakała o kiju?... — mruknął Rahib posłuchawszy także. Trzej Indianie porozumiewali się zdziwionym wzrokiem, a tymczasem na skinienie Thorna, każdy starał się ukryć jak mógł, przykładając lub przypadając do ziemi w gęstwinie i poza urwiskami, a broń jednocześnie przygotowując. W mgnieniu oka mała dzika kotlina, prawdziwie godne zbójców legowisko opustoszało; czekali, przez parę minut nic nie zjawiało się nowego; cisza i samotność, odległym tylko a niemylm krzykiem pawia macone, zdawały się bezpodzielnie panować w przybytku swoim. Już oczekujący niepokoić się zaczęli, tracąc napróżno drogie chwile, gdyż przypuszczano że Indianie po mylili się, gdy nareszcie dał się słyszeć szelest coraz wyraźniejszy. Istotnie można było odróżnić uchem coś podobnego do ciężkich kroków, którym towarzyszyło głucho sapanie, jęk przypominające. W najwyższym zdziwieniu nie mogąc sobie w żaden sposób zdać sprawy z tych odgłosów, ten i ów wychylał głowę z ukrycia wpatrując się w stronę, z której szelest dochodził, gdy pomniejsze zarośla rozchyliły się i... wsparty oburącz na dwóch kijach wyskoczył z nich... oberżysta! Wy skoczył i padł na ziemię zmordowany śmiertelnie. Jedną nogę miał grubo owiniętą, kawałem tkaniny oderwanej gwałtownie w widocznym pośpiechu z własnego odzienia, któremu też brakowało całej jednej poły, a dwa kije i jedna noga dostały tecznie tłómaczyły ów chód na „trzech nogach” którego odgłosy zdumiewały Indian. Ale teraz nie tracono czasu na dziwienie się. Zaledwie ranny usiadł, gdy za jego plecami bez najmniejszego na ten raz szelestu i bez pośpiechu, jak cień, zjawił się Wilko odwiązując rodzaj dużego szala, który stosownie udrapowany stanowił całe jego ubranie, lekko, jakby igrając zarzucał ten szal na twarz oberżysty, kneblując mu niejako w ten sposób odrazu usta i wiążąc potem ręce z tak niesłychaną łatwością, że patrzący oniemieli ze zgrozy wobec tej okropnej zręczności... Złoczyńca nie zdołał wydać nie tylko krzyku, ale nawet najłżejszego westchnienia.

— A teraz, komendancie?... — spytał Carré, gdy zdołał przemówić ze zdziwienia, tem większego, że nie mógł zrozumieć tajemniczego źródła, plemiennego talentu Wilka.

— Teraz, panie Carré zabierz więźnia z pomocą naszych synów i towarzyszy, odprowadź go a następnie jego żonę pilnowaną w chacie przez mego Ralfa, do zatoki, w której kapitan czeka ze swym parowcem. Opowiecie kapitanowi gdzie jesteście z Wilkiem, Rahibem i Mahorą, i jak ważną jest dla nas ta miejscowość, w której prawdopodobnie musi przyjść do spotkania z porywcami naszych dzieci; następnie postąpicie wedle rozkazów kapitana. Jabym pragnął wziąć zbójców we dwa ognie, to jest uderzyć na nich tu w pośrodku ich samych nieledwie, gdy wy nacierać będziecie z zewnątrz.

— Ależ ojcie!... ty! chcesz pozostać tutaj bez nas Chcesz nas usunąć od niebezpieczeństwa!

— Mój przyjacielu!... zdaje mi się że miłość rodzicielska, nadzieja i pragnienie ujrzenia Wiliama odwraca twą uwagę od wszelkich innych względów: zważaj że nie wiemy ilu wrogów możemy mieć przeciw sobie!

— I że pozostawisz tu, napróżno panowie chcieliby się ukryć aby uderzyć we właściwej chwili; nie jesteśmy w naszym lesie tuż za domem, gdzie ja przynajmniej znałem każde drzewo i każdą skrytkę. Tu, my dwaj Wilko i ja możemy tylko pozostać i to tylko po to aby wypatrzeć i policzyć zbójców i zobaczyć czy prowadzą pana Wiliama i pannę Klarę i o tem wszystkiem panom donieść. Wtedy dopiero będziemy mogli postanowić co czynić należy. My dwaj w razie potrzeby udamy żeśmy tacy jak i oni!

— Idą!... — szepnął a raczej syknął Wilko, zrywając się gwałtownie z ziemi, którą badał uchem co chwila.

— Uchodźcie panowie!... uchodźcie wszyscy dla Boga bo wielki tłum idzie! — nalegał Rahib posłuchawszy także.

— Rahib! prowadź napowrót przez las tak jakeśmy tu przyszli, bo to nie łatwo; panie Carré pomagaj Rahibowi! panowie proszę iść i wszystkich z sobą zabierać, zaklinam was.

śpieszcie, jeżeli chcecie oglądać jeszcze porwane dzieci wasze! Ostatnie te słowa wyrzeczone tonem poważnego rozkazu jaki Mahora nauczył się przybierać w razach wyjątkowego niebezpieczeństwa w czasie ucieczki. zdecydowały wreszcie Mac-Ulma, który pochwycił pod ramię drżącego Thorna i pociągnął go za sobą, oglądającego się czy nie widać już Wiliama wśród nadchodzących wrogów. Słudzy szli za nimi, pojedynczo przeslizgując się wśród głazów.

— Ale ja przecież mogę pozostać z wami, Mahora?

— Ja pozostanę!... prawda!... — szeptali tymczasem młodzi Anglicy.

Franek nie nie mówił tylko szybko wdrapując się na wielkie mangowe drzewo, słysząc jednocześnie ojca wołającego go półgłosem:

— Chłopcy! Dzieci! iść z nami! wszyscy z nami! Gdzie dzieci? Bystre oko Mahory dostrzegło w tej chwili Franka:

— Panie Frank — rzekł głosem zimnym jak stal — zastanów się, czy chcesz wziąć na sumienie życie twego brata?... Bo zaręczam ci że lotry, jeżeli tylko odkryją nas i nasze zamiary, z pewnością zamordują przedewszystkiem więźniów swoich!... powodowani złością piekielną, zwłaszcza gdy spostrzegą że moglibyśmy mieć nadzieję powodzenia! — Frank zsunął się z drzewa jak liść opadający i wszyscy czterej młodzi podążyli za ojcem. W pół godziny później trzy potężne zbiorowe wystrzały dały się słyszeć w głębi jednego w okolicy lasu.

— Nie pojmuję tego i nigdy nie pojme! — z cicha zaczął łamiąc ręce w parę godzin później Edward — gonimy, naradzamy się, doganiamy nareszcie po długich trudach, a gdy już pozostaje tylko zmierzyć się z tymi których gonimy... uciekamy! Ha ha ha!...

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

W bardzo ciekawy sposób, jak donosi francuz. pismo „la Nature” zaopatrują się w wodę słodką mieszkańcy wyspy Bekrein, położonej w zatoce Perskiej. Na wyspie niema studni, deszcz nigdy tam nie pada; czerpie się więc wodę z dna morza, gdzie wytryska obfite źródło wody słodkiej. Dobywają ją ztamtąd nurkowie. Ze statku stojącego tuż ponad miejscem z kąd tryska źródło, rzuca się nurek w wodę, trzymając w lewej ręce wór ze skóry koziwej, ze staranniem zatkanym otworem. W prawej ręce trzyma kamień uwiązany u sznura, którego drugi koniec pozostaje na statku. Pociągany przez ów kamień szybko idzie na dno, wtedy kamień rzuca a otworzywszy zręcznie wór skórzany, napełnia go słodką wodą ze źródła, zamyka silnie otwór i wypychany parciem bijącego pod wodą źródła, wraca na statek, gdzie towarzysze odbierają mu worek i wylewają wodę do beczki. Kamień wyciągnięty z wody za pomocą sznuru, służy znowu dla drugiego nurka. Łatwo pojąć, jakiej przytomności umysłu i zręczności potrzeba nurkowi, aby we właściwej chwili otworzyć worek i napełnić go wodą słodką zamiast morskiej, któraby w razie popełnienia niezręczności napłynęła do worka.

Homonim szaradowy.

Bez pierwszej, drugiej zwykle nam nic nie smakuje;
Pisma bez drugich, trzecich, nikt z nas nie pojmuje;
Pierwsze, trzecie, mniej znanem, męskim jest imieniem.
Wszystko zaś, drogocennym i pięknym kamieniem,
Albo zwierząt i ludzi bywa udrećzeniem.

KRYPTOGRAM.

ułożył Pegaz skrzydlaty.

9	10	4	6	1	11	12	13	11
3	2	6	8	2	14	6	8	4
11	4	15	11	3	2	12	1	11
8	5	12	16	4	17	6	8	4
1	2	3	4	5	6	7	8	2
18	12	2	6	6	1	11	3	3
15	2	3	4	7	19	13	13	4
11	9	12	20	8	11	3	8	11
21	7	11	12	2	1	20	6	22

Powyższe liczby zastąpić literami tak, aby środkowe słupy utworzyły nazwisko pols. kompozytora. 1. Tytuły 2 oper. 2. Muzyk polski tegoczesny. 3. Tytuły 2 oper. 4. Kompozytor polski. 5. 6. Kompozytor polski tegoczesny. 7. Kompozytor włoski. 8. Tytuł opery. 9. Tytuł opery polskiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Zagadki:

P o p r a w a.

Łamigłówki sylabowej:

1. Kalejdoskop. 2. Ohio. 3. Ceylon. 4. Hobi. 5. Amazonka. 6. Nazaret. 7. Ontario. 8. Wilanów. 9. Sokrates. 10. Kacyk. 11. Idzi.

Kochanowski — Poniatowski.

SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOŁNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PŁACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przyjmuje pensyonarki, udziela nauki wszystkich rzemioł korzystnych dla kobiet. Lekcje malowania, rysunku i modelowania z gliny dają artyści: rzeźbiarz i malarz.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TRZESCI: Grajek, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Z podań o Kijowie p. Teresę Jadwigę. — Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzew.) — Połów bursztynu p. Henryka Wernica. — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Przygoda państwa Psińskich (z drzew.) — Chłopczyk i wiewiórka, wiersz. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

Przygoda państwa Psińskich.

I.

Pewnego letniego poranku pani Psińska dumna z jedynaka swego Trezorka, postanowiła wraz z nim zrobić wycieczkę poza mury miejskie.

— Ale jakże sobie poradzimy — rzekł pan Psiński — Trezorek jest zbyt młody ażeby za nami nadążył, coś pocniemy gdy ustanie w drodze?

— Ja też nie myślę aby szedł pieszo. Czyż nie widzisz jak dzieci wożą w wózkach?

z zazdrości, ale bo też daleko ich prostym kubrakom do naszych eleganckich ubiorów, równie jak ich Burkom i Kruczkom do naszego Trezorka.

— Nie wynośmy się nigdy jedni nad drugich moja droga Bibisiu, bo to nikomu na dobre nie wyszło — rzekł wzdychając roztropny Psiński, uległ wszakże namowom żony i niezadługo potem cała rodzina udała się za miasto. Spadający na oczy czepek zasłaniał nieraz wzrok biednemu Psińskiemu i potykał się popychając wózek, ale żona jego w małym kapelusiku, z parasolką w rękę i binoklem na nosie tak się czuła zadowolona, Trezorek zaś odzywał się tak rozkosznie: au, au, ham, ham, niby to dmąc w trąbkę, którą mu włożyła w łapki matka, że



— Ale wózki takie popychają zwykle niańki, a przecież my niańki nie mamy, bo nasze dzieci mądrze od dzieci ludzkich wychowują się same.

— O, wielka mi rzecz niańka! Ufryzuję ci włosy, włożę spódnice i czepek z kwiatami i wstażkami, to będziesz tak wyglądał popychając wózek, jak niańka w większym ubraniu.

— Ależ moja Bibisiu — obruszył się pan Psiński — to wcale nie wypada abym ja, twój mąż, ojciec Trezorka, użyty był do podobnej posługi, to mię ośmieszysz tylko.

— Zaręczam ci mój drogi Fidelku, że dobra twoja sława jest mi równie drogą jak tobie samemu i dla tego nie chciałabym cię narazić na śmieszność. Już ja tak wszystko urządzę, że nikt cię nie pozna, a wspólna ta przechadzka bardzo nam będzie przyjemną, zwłaszcza że słusznie możemy się pochwalić Trezorkiem, bo rzadko tak miłego i mądrego pieska. Sama ubiorę się w kaftanik, spódnice i czepek, a potem wyruszmy poza miasto i powiadam ci, że nas wszyscy będą podziwiali, a co Burkowscy i Kruczkowscy, to pochorują się chyba

poczciwy ojciec, jakkolwiek przeciwny przechadzce urządzonęj niejako na popis, czuł się zadowolonym przyjemnością, którą sprawił swym ukochanym.

Gdy mijali budę Kruczkowskich, małemu ich Kruczkowi o mało oczy nie wyszły, tak się przyglądał Trezorkowi, sama zaś Kruczkowska, jak zauważyła pani Psińska, skrzywiła się brzydko. Na innych sąsiadach i znajomych niepospolite też uczynili wrażenie. Niektórzy z nich głośno objawiali swe niezadowolenie, odpowiadając na delikatne ham, ham Trezorka, basowem hu, hu, wrrrrr... i t. p.

Te objawy niechęci, niemiłe były pocziwemu Psińskiemu, który rad był ze wszystkimi żyć w zgodzie, uszczęśliwiały wszakże nieroztropną i prózną jego małżonkę.

— Zazdroszczą nam! zazdroszczą! — wołała uradowana.

Gdy się znaleźli poza miastem, przykro jej się zrobiło że już nie było przed kim się popisować, bo napotykali tylko muszki i motyle krążące w powietrzu, postano-

OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiohnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

wiła więc skrócić przechadzkę, a następnie uczynić wycieczkę do środka miasta, to jest wystąpić w publicznym spacerowym ogrodzie, ale Psiński oparł się temu i daremnie żona dręczyła go przez kilka miesięcy. Dopiero gdy już kończyło się lato, a zrozpaczona Bibisia postanowiła bądźco bądź wystąpić w ogrodzie, gdzie Trezorek już starszy mógł iść pieszo z rodzicami, uległ jej namowom. Dzień był prześliczny, Psiński więc choć niechętnie przystał na zamierzony od tak dawna spacer, nie chcąc się dłużej narażać na dotkliwe nieraz domowe przykrości.

Uczył tylko przedstawienie, że spotkać mogą Burkowskiego lub Kruczkowskiego, a ci rozgniewani jeszcze za spacer pozamiejski z wózkiem, zobaczywszy że się znów nad nich chcą wywyższać strojem, gotowi szukać zaczepki, która w publicznym miejscu zbyt hałaśliwie skończyć się może...

Ale pani Psińska śmiała się z tej obawy, pewna że zobaczywszy ich w całym blasku paradnych strojów, biedni sąsiedzi olśnieni tym widokiem, umkną z drogi na najlżejsze warknięcie.

(d. c. n.)

CHŁOPCZYK I WIEWIÓRKA.

„Wiewióreczko zwinna, zgrabna,
Taka dzika, a powabna,
Bądź nam gościem w naszej chatce,
Umieścim cię w pięknej klatce.
Za sprawiane nam uciechy,
Będziesz sobie gryźć orzechy.”
A wiewiórka rzecze na to:
„Dajcie pokój z waszą chatą.
Przysmaków mi nie potrzeba:
Wolę patrzeć w błękit nieba;
Wolę bujać sobie w lesie,
Gdzie mi słowik piosnkę niesie
Z pierwszym tchnieniem lubiej wiosny.
Lubię jodły, świerki, sosny,
Co i latem i jesienią
Tak uroczo się zielenią.
Życie płynie mi wesoło,
Gdy obiegam las w około,
Skacząc sobie w prawo, w lewo,
Z jednego na drugie drzewo.
A choć często się przedrzemię,
Wcześniej myślę już o zimie,
Rozmawiając czasem z gwiazdką,
Ściele sobie własne gniazdko,
I na trudne w zimie czasy
Orzechów robię zapasy.
To, co sama zapracuję,
Jaknajlepiej mi smakuje.
W lesie miło czas upływa;
W nim też czuję się szczęśliwa!”

Kiedyindziej motyl pokornie potwierdziłby zdanie przyjaciółki, która nim zawsze trochę dowodziła, ale teraz zdawało mu się, że opowiadając od kilku godzin ciągle o sobie, urósł do znaczenia jakiejś nadzwyczaj ważnej istoty i przybierał dumne postawy.

— Zdaje mi się, że mnie i tych zalet odmówić nie zdołasz — odparł też z wielką godnością i powrócił do dalszego opowiadania. Szczypawka miała nieprzewyciężoną chętkę wysprzeczać się z nim porządnie i upokorzyć go wreszcie jak należało, ale chęć słyszenia ciekawego opowiadania przemogła, więc dała pokój nieporozumieniom, a motylek mówił dalej:

— Właśnie Zosia kończyła śliczną legendę o skowronkach, gdy we drzwiach ukazał się jakiś chłopak, który zawołał: Proszę panienek na obiad. — Obiad!... ach jakże smutnem echem wyraz ten ozwał się w mym żołądku!

Panienki wyszły, przyczem najstarsza złościła się trochę, że przez nieznośną liszkę nie można było porządnie lekcyi ukończyć, gdyż zabrała tyle czasu, a wtedy ja zabrałem się do skromnego posiłku: skubnąłem trochę jedzenia, wypilem kropelkę wody i westchnąłem ciężko. Niestety! rozkoszne kapuściane listki, należały już do krainy wspomnień tylko.

Kilka godzin przebyłem w zupełnej samotności, rozmyślając nad mym smutnym losem i roniąc łzy obficie, potem z hałasem i trzaskiem wpadły trzy panienki i rozpoczęła się znowu lekcyja. Następnie dwie małe uczyły się same głośno, rozprawiając jeszcze prędzej jak zwykle z rękami na uszach, wreszcie wszystko umilkło, głęboka cisza zaległa pokój, słońce zaszło, w około zrobiło się ciemno, mroczno, a ja wciśnięty w ciepły kącik między liśćmi, usnąłem głęboko. Blask światła rozbudził mię nagle; powstałem radośnie, myśląc że to ranek, a ja cudownie oswobodzony z niewoli, oglądam znowu lube słońeczko, wkrótce jednak rozwiął się mój zachwył: światło to było sztuczne jakieś, nie rzucało promieni i nie dawało ożywczego ciepła. Znowu rozczarowanie! Przy mnie ze schylnemi głowami i ciekawem wejrzeniem stały najstarsza panienka i pulchna, rumiana, wiejska dziewczyna.

— Śpi nasza liszka, patrz Magdusiu jak się skręciła — zauważyła panna Cela.

— A co panienka robi z tą liszką? — zagadnęła Magdusia.

— Wychowam sobie na motylka.

— Albo to będzie motyl z robaka? — zapytała znów Magdusia z jakimś niedowierzającym uśmiechem.

— Naturalnie, czy nie wiesz o tem? przecież wszystkie motyle są z liszek.

— Musi to nie może być prawda.

— Zobaczysz niedługo.

— A czyż się co zrobiło z tej liszki, co panienka trzymała zaraz z wiosny?

— Z pewnością — rzekła panna Cela — tylko ja zapomniałam codzień zaglądać do słoika, więc motyl wyfrunął i została sama zeschnięta skórka. Dziewczyna rozśmiała się szczerze, po wiejsku.

— Mnie się widzi — rzekła — że się biedne robaczysko namęczyło i pokruszyło wreszcie.

Panienka nic już nie mówiła tylko spojrzała na mnie z groźną miną, a w wejrzeniu jej czytałem wyraźnie rozkaz: — Musisz zostać motylem!

Zadrżałem i zwinąłem się w kółko.

Ach moja panienko, myślałem, gdyby to odemnie zależało, spełniłbym twoje życzenie z wielką przyjemnością, ale podzieliłam w zupełności powątpiewanie Magdusi i zastrasza mnie bardzo los mój nieszczęsnej poprzedniczki, tej biednej liszki, co to zeschnięta, z głodu zapewne.

Zastanowiłem się potem głęboko nad możliwością, zamiany w motyla: słyszałem już o tem nieraz i uważałem ze strony znajomych z kapuścianego zagonu za niezbyt dowcipne żarty, tembardziej więc zadziwiło mnie podobne zdanie ze strony ludzi, osób obcych, obojętnych, przekonanych że nie rozumiem ich mowy. W każdej bajce jest choć cień prawdy, rozumowałem, może więc rzeczywiście nie zostanę do końca życia tem, czem jestem, ale wkrótce przyszło mi na myśl, że prędzej spotka mnie dola uszlętej liszki i nie wiedziałem czy mam się cieszyć pierwszym, czy smucić drugim przypuszczeniem. Całą tę noc dręczony byłem niepokojącymi widziadłami i wstałem nazajutrz zmęczony, smutny i zgnębiony.

Życie moje w niewoli przechodziło bardzo jednostajnie, co rano wstające słońce budziło mnie ze snu, potem przychodziły panienki, rozpoczynała się nauka i wszystko szło zwykłym widać w tym domu trybem.

Tak upłynęło dni kilka. Pewnego ranku lekcya była nadzwyczaj ciekawa: rozmawiano o wojnach, królach, bohaterach, dziewczynki zachwycaly się jakimś Fabrycyuszem, z podziwem mówiły o dzielnym Hani-balu, a najstarsza czytała coś z dużej książki, tłómaczyła i złościła się potrochu, jak to już było w jej zwyczaju. W chwili największego zapału, gdy Zosia strofowana ciągle o „poprawny styl” opowiadała historję jakiejś bitwy, dało się słyszeć lekkie stukanie.

— Kto? — zawołała krótko, sroga nauczycielka.

— Anusia — odparł cienki, pieszczotliwy głosik.

— Oj moja Anusiu, kto ty tam jesteś — pomyślałem sobie — nie wpuszczaj cię tutaj; ale stało się przeciwnie: panna Cela ostrożnie otworzyła drzwi przed małątką, uśmiechniętą dziewczeczką, która prędko dreptała po ziemi drobnymi nóżkami. Panienki ucieszyły się widocznie przybyciem tej miniaturowej osóbką, a najstarsza całując pulchną buzię zamorusaną od jabłka trzymanego w zaciśniętej ręczce, zapytała z uśmiechem:

— Czego Anusia chce? nie można przeszkadzać w czasie lekcji.

— Anusia cie głądać brązki — zaszczebiotał dziecinny głosik.

— Niema tu książek z „brązkami”, ale ci pokażę „bobaka.” — To mówiąc podniosła ją do stołu i wskazała mi palcem. Spojrzałem w górę i ujrzałem nad sobą parę błyszczących oczek, modrych jak niezabudki, któ-

rych tyle rośnie nad wodą, osadzonych w różowej, okrągłej twarzy. —

— To „bobak” Anusiu, nie trzeba go ruszać, bo cię zje, schrupie jak ciasteczko — mówiły siostry, ale dziewczynka nie zdawała się wcale przerażoną temi groźbami i śmiało wyciągnęła paluszek, chcąc mnie chwycić; ale Zosia przeszkodziła temu.

— Anusia nie boi bobaka — mówiła maleńka — bobak ładny.

Pochwała ta z dziecięcych ustek, sprawiła mi prawdziwą przyjemność; wkrótce Anusię zabrano, a ja pomyślałem sobie, że i między ludźmi znajdują się czasami niezłe okazy. Później raz jeszcze widziałem tę samą Anusię, ale była brzydka, zapłakana, gniewała się i grymasiła, nie mogłem jej poznać prawie. Jak więc bardzo powierzchowność zależy od usposobienia; sądząc po tem wyobrażałem sobie, że muszę wyglądać straszliwie. Nie było wprawdzie dostatecznej ilości kropelek rosy, ażeby mógł się w nich przejrzeć, umyć i uporządkować strój mój zaniedbany bardzo w tych smutnych czasach niewoli, ale po kilku dniach we wszystkich oczach czytałem wyraźnie, że nie uważają mnie już za „śliczną liszkę.”

Nic też dziwnego: zmartwienie nie służy urodzie, a ja oddawałem się ciągle ponuręj rozpaczliwej zwłaszcza w długich godzinach samotności, gdyż wystaw sobie szczypaweczko, nie miałem tam żadnego towarzystwa. Była wprawdzie spora gromadka much swarliwych i wścibskich jak zwykle, ale nigdy nie poniżyłbym się do tego stopnia, ażeby zechciał wdawać się z niemi w bliższe stosunki znajomości. Trudno uwierzyć, jak te istoty pozbawione są zupełnie godności osobistej: mnie otaczano szacunkiem i pewnemi względami, a jednak niezbyt chętnie przyjmowałem tę natrętą gościnność a one bezustannie wypędzane, za chwilę powracały znowu. Podobne postępowanie bardzo mnie oburzyło, tak więc, pomimo że codzień zamęczały mnie ciekawymi pytaniami i ubolewaniem nad moim losem, zbywałem je uporczywym milczeniem. Drugą dręczącą mnie plagą było złe jedzenie. Miałem trochę liści niesmacznych i twardych, ale ponieważ „głód najlepszym jest kucharzem”, przekonałbym się może do nich gdyby nie to, że po kilku dniach zeschnęły zupełnie; w tym niedostatku skubałem tylko trochę, ile było koniecznie potrzeba do utrzymania życia i wspominałem dawne przysmaki. Moje opiekunki codziennie ubolewały nademną, że chudnę, że nic nie jem, że coraz gorzej wyglądam, i uważałem że są rzeczywiście zmartwione, ceniąc widocznie wysoko moje zdrowie, ale ich próżne żale nie mogły mi dodać ochoty do spożywania starych, suchych liści, wolałbym, żeby zamiast ciągłych narzekań dostarczyły mi świeżego zapasu żywności.

(d. c. n.)

Zagadka rebusowa.

Z litery kije,
Całość nie bije,
Lecz spalić może;
Uchowaj Boże.

ZAGADKI.

Jakie trzy ściany z pięciu kwadratów należy usunąć, aby pozostałe złożyły trzy kwadraty.

1 4	2 5	3 6 7
8 11 14	9 12 13 15	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Zagadki:

F a r t u c h.

Zagadki:

R a k — L a k.

Skrzynka do listów.

Droga Niezapominajko z nad Jabłoni w imieniu nieobecnej Gołąbki nie tylko odpowiadamy, ale serdecznie dziękujemy za złożone w naszej Redakcyi dowody poezji i serca oraz pracowitości twojej. Cały ów zapas oddany został, jak sobie tego życzyłaś, do szpitalika dzieciniego, gdzie prosiliśmy o modlitwy dla ciebie. W chorobie odwagi i cierpliwości przede wszystkim potrzeba, i o nie jako łaskę, prosić tam, z kąd wszystko dobre nam płynie... Łamigłówni wydrukujemy o ile będą dobre; biednej chorób życzymy najszybszego powrotu do zdrowia.

Barwinku z Chmielnój miło nam zawsze się dowiedzieć, że po dłuższej nieobecności czytelnicy nasi z radością wracają do Warszawy. Dlaczego swój dawny taki ładny pseudonym Macierzanki zmieniałaś, i to na męzki?

Cichój wodzie słów tylko parę odpowiadamy, aby w nich zaznaczyć, że korespondencja jęj doszła rąk naszych. Za to, co zawiera niech sama Gołąbka podziękuje, bo wiemy, jak ją to serdecznie ucieszy.

Porankowi majowemu i wszystkim, którzy z powodu odebrania nagród wyrażają nam zadowolenie swoje, odpowiadamy, że tym zadowoleniem my pierwsi najwięcej się cieszymy.

Kochana **Gosposiu z nad Warty**! Podobał mi się bardzo twój pseudonym i chciałabym z tobą korespondować. Ja mam lat 10 na imię mi Kasia, mieszkam na Podolu i mam dwóch młodszych braciszków. Donieś mi co o sobie. Twoja: *Gospośia Taty*.

Kochana **Heleno Hup...** Znam cię z opowiadania wiem że lubisz się stroić; czytać nasze kochane „Wieczory” i „Drugą Matkę” że masz nauczycielkę Polkę; ale ty mnie nie znasz; nie piszesz do Wieczorów; spodziewając się Twojej odpowiedzi całuję cię *Gwiazdka na zachodzie*.

Kochany **Poranku** majowy! z odpowiedzi twoich wiem tylko że ci na imię Marylka. Chciałabym jednak dowiedzieć się, czy ty zaliczasz się do grona staruszek i czy mieszkasz w Warszawie?

Serdeczne uściśnienie wraz z podziękowaniem za szaradę przesyła „*Fijołeczek z nad Wisły*”.

Tajemnicza Cairo! Donieś nam czyś już zdrowa, bo słysze-

liśmy żeś się bardzo naciępała. Czy **Jadzia S.** dobrze się bawiła? Odpowiedz nam i zgadnij kim są: *Iris i Mimoza*?

Kochana **Złota rybko**! Napisz choć parę słówek, donieś co o sobie. Może żyjesz w rzece, nad której brzegiem ja rosnę, to przypłyni i poznaj się osobiście z twoją *Niezapominajką z nad Warty*.

Droga Marszałkowo! Cieszę się bardzo że czytasz „Wieczory Rodzinne” i że będziemy mogły do siebie pisywać. Donieś mi czy już pisałaś do „Gwiazdki nadziei” czy dopiero napiszesz? Czekam niecierpliwie twój odpowiedzi a tymczasem ściskam cię serdecznie. *Błądny Ognik*.

Droga Jaskółko z Czerwonej Rusi! Mieszkam na prowincyi, mam wielu krewnych i dwóch braci w szkołach w Chyrowie. Jak ci na imię? w jakim jesteś wieku? Prosi o odpowiedź na wszystkie pytania *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Kochane **Rajskie Jabłuszko**! Zaciekałaś nas bardzo przesyłając pozdrowienie w liściku do Goryczki, bo nie mam nikogo ze znajomych w Skwirze. Bądź tak dobrą i napisz mi ile masz lat, jak się nazywasz i ile masz rodzeństwa? Proszę zechciej nadal zemną korespondować. Czekam niecierpliwie odpowiedzi. *Czarna Perelka*.

Kochane: **Biała Perelko**, **Kwiecie Jabłoni** i **Tońciu**! Tobie kochana **Perelko** dziękuję za odpowiedź i donoszę że Błyskawicę znam z lekcji tańców, które brałyśmy jednocześnie tej zimy. **Kwiecie Jabłoni**, korespondując ze mną zrobisz mi wielką przyjemność. W przeszłorocznych Wieczorach najbardziej mi się podoba: Najnowsza powieść **Deotymy**. Czemu nie napiszesz do mnie kochana **Toni** obiecałaś mi to przecież gdy była u ciebie? Całuję was serdecznie. *Polna Róża*.

Drogie moje Cyganeczko i Szarotko alpejska! Dziękuję wam za liściki, które mi sprawiły wielką przyjemność. Tobie **Cyganeczko** donoszę, że mieszkam na wsi, tam więc lato przepędziłam ale za to teraz cały rok będę w mieście, bo jadę na pensję do Krakowa razem z moją siostrą **Kropelką rosy**. Nie, kochana **Szarotko alpejska**, ani **Alpy**, ani **Tatry** nie są moją ojczyzną, przeciwnie, wzrosłam wśród równin, bo w ks. **Poznańskim**, gdzie czasem tylko małe pagórki się trafiają. Obrałam sobie ten kwiatek za pseudonym dla tego, że go bardzo lubię. Jak wam się podoba: „**Druga Matka**?” bo mnie bardzo zajmuje. *Wasza Szarotka*.

Droga Kapłanko Znicza! Nie mogę się domyślić kto jesteś. Powtarzam jednak moje przypuszczenie, że jesteś **Antolka K.** i mieszkasz w Warszawie. Odpowiedz czy zgadłam, jeżeli nie, to donieś mi choć pierwsze litery imienia i nazwiska. A teraz ściskam cię serdecznie. *Głoksynia*.

Drogie moje: Pieszczotko, Szarotko, Dumko z nad Sobu i Praco! **Pieszczotko** moja droga, jestem już wielką siedemnastoletnią staruszką, imię moje **Marta**. **Szarotko** kochana, wesoła jestem ale czasem i smutną. Ile masz lat? **Dumko** luba czy lubisz dumać? Mieszkam pod Warszawą i mam czworo rodzeństwa. Ciebie droga **Praco** doskonale pamiętam. Nauki już skończyłam, tylko biorę lekcje muzyki w Warszawie. Dziękuję wam moje najukochańsze za liściki, przyjmijcie więc serdeczne pocałunki i piszcie do kochającej was z całego serca *Cyganeczki z nad Wisły*.

Droga Gosposiu z nad Warty. Podobał mi się twój pseudonym i chcę z tobą korespondować. Mam lat 15, mieszkamy stale w Warszawie, lecz uczę się teraz w **Wersalu** wraz z siostrami **Aleksandrą** starszą odemnie i **Manią** młodszą, która pisuje do **Wieczorów** pod pseudonymem „**Jerzynki Wersalskiej**”. Napisz mi gdzie mieszkasz? Mnie na imię **Janina**, jestem niską, szatynką. Żegnaj cię. *Twoja gołąbka Wersalska*.

Kochana **Artystko**. Posyłamy ci wszystkie na dzień imienia serdeczne życzenia. Czy dobrze się bawisz w **Grodzisku** i czy gniewają cię bardzo ciągle deszcze. Czy należałaś do zadania konkursowego królewicza **Zielonki**? Ja wysłałam opis fiołka. Co ci się najwięcej podoba w „**Wieczorach**”? Mnie „**Pod wpływem błogosławieństwa**”. Namów **Artystkę Stefcię G.**, żeby sobie obrała jakiś pseudonym i pisywała do „**Wieczorów**”. Proszę cię bardzo odpisz mi niedługo, a teraz przyjmij od nas serdeczne uściśnienia. *Twoja Iskierka z pod Lublina*.